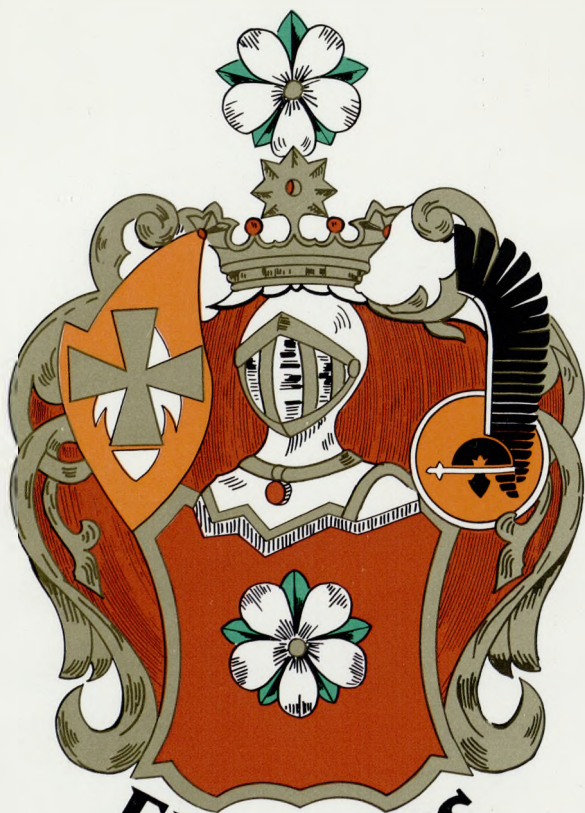


F



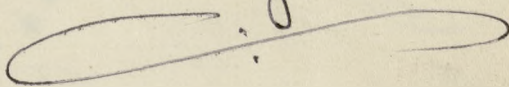
**EX LIBRIS**  
LODA and EDWARD C. ROZANSKI

~~577~~  
F 117

PROMETEUSZ I SYZYF

Lodji!

Na pamiątkę  
od Edyia



Narya 5-ta rocznica  
matrymonialna  
Love you!  
er

1945

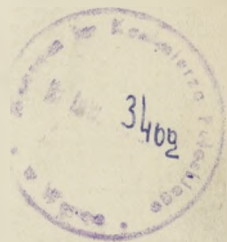


F117

MARYA KONOPNICKA

# PROMETEUSZ I SYZYF

„*Abyssus abyssum vocat*”



WARSZAWA • NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA  
KRAKÓW • G. GEBETHNER I SPÓŁKA • 1907

WYDAWCA

# PROMETEUSZ I SYZYF



ODBITO W DRUKARNI W. L. ANCZYCA I SP. W KRAKOWIE

# PRZED WIEKAMI





*Noc gwiazdna. Okolica skalista. Słychać grzmot toczących się głazów. W ciągu rozmowy gwiazdy gasną. Świta. PROMETEUSZ w czapce frygijskiej i krótkiej chłamydzie.*

#### PROMETEUSZ.

Przeklęty łomot! Znów jedna noc stracona. Człowiekowi w takim hałasie trudno byłoby zasnąć, nie dopieroż bogu. A mnie sen jego tak potrzebny. O, jak potrzebny!... *Nowy grzmot w przepaści. Żebym chociaż wiedzieć mógł, co tam za otchłaniec z piekłem w dyska gra... Woła: Ho! Ho!*

*SYZYF głos z głębi:*

I ten się stoczył.

#### PROMETEUSZ.

Głos ludzki jakby. Czy słyszysz mnie, człowieku?

SYZYF.

I ten także się stoczył. Uf!

PROMETEUSZ.

Siłacz jakiś. Jeden może z tych jasnowłosych olbrzymów, którym Zeus skały na ramiona zwałił i w łańcuchy zakuł. Powiadają, że kiedy łańcuch zbyt ciśnie, a olbrzym się poruszy, ziemia drży i zapadają się góry. A może kamieniarz tylko. *Woła:* Ho! Ho!...

SYZYF.

Czy kto woła? Czy tylko skała tak grzmi pod głazami?

PROMETEUSZ.

Ho!... Ho!...

SYZYF.

Ktoś woła. Ale nie widzę, kto. Pyły kamieni zasypują mi oczy. Zdaje się, jakbym słyszał bicie wielkich skrzydeł... Czy może wiatr tylko? To orzeł!

## PROMETEUSZ.

Ho! Ho!... Człowieku!...

## SYZYF.

Orzeł, który gada. No, no! I nazywa mnie człowiekiem. Musi być bardzo wysoko; nie może widzieć, że jestem tytanem. Z góry nigdy dobrze nie widać, co się dzieje w dole. Ramię tytana wydaje się stamtąd gałęzią wikliny, głowa — gorczycznym ziarnem, kadłub — nie większym od tykwy, a nogi, jak dwie trzciny, które, gdzie posadzisz, tam rosną. Nie może mnie widzieć. *Wół:* A czego tam, orle?

## PROMETEUSZ.

Orłem mnie nazywa! Dziwne pojęcie mają o nas te istoty, tam w dole żyjące. Z głębi, w którą go Zeus wtrącił, nie może mnie widzieć. Szatę moją, z wiatrem wiejącą, skrzydłami być rozumie. Skrzydła! Cobym dał za nie! W każdym razie dobra to jest wróżba. Orzeł, ptak Zeusa. *Wół:* A co tam robisz, bracie?

SYZYF.

Mówi: Bracie. Piękna to rzecz, ale nie jest prawdziwa. Bracie! Hm! Żebyś ty bratem, bratku, był, tobyś ty ze mną u roboty stanął i tak samo bary pod głazy podkładał, jak ja podkładam, a nie bujał gdzieś po szczytach. Bracie!... Ile razy ci tam w górze pomocy naszej potrzebują, to nam mówią: bracie. Nie dowierzam ja ci, ptaszku! No, ale słuchać mogę. *Wola:* A czego tam trzeba?

PROMETEUSZ.

Żebyś uciszył te głosy, po przepaściach grzmiące. Potrzeba mi ciszy!

SYZYF.

Czy nie mówiłem? Potrzeba mu czegoś.

PROMETEUSZ.

Zeus nie może zasnąć.

SYZYF.

To Zeus przysłał cię do mnie?

## PROMETEUSZ.

Prostaczyna jakiś! Ale to właśnie dobrze mi się nadaje. Kto wie, czy słuhaćby chciał, gdybym sam od siebie mówił. A potem, alboż, ściśle rzeczy biorąc, tak nie jest? Miejsce, na którym stoję, w każdym razie bliższe jest tronu Zeusa, niż ta dziura, w której on siedzi; a chociaż Zeus nie mówi ani do mnie, ani do niego, pewną jest rzeczą, iż gdyby mówił, ja usłyszałbym go pierwej, a także wyraźniej. *Wół:* Tak jest! Zeus przysłał mnie do ciebie!

## SYZYF.

O źle!... Z większą rewerencyą poczynać z nim trzeba.

## PROMETEUSZ.

Ale dlaczego tam taki łomot? Co ty właściwie robisz?

## SYZYF.

Nie wie... Może i nie od Zeusa idzie? W każdym razie ostrożnie z nim trzeba. *Wół:* Głazy

pod górę toczę. Głazy osypują się i okruchy w dół lecą.

PROMETEUSZ.

Okruchy? Nie myślałem nigdy, żeby okruchy mogły sprawiać tak wielki hałas. Tak nieznośny, wszystko głuszający hałas!

SYZYF.

Tak. Gdy w przepaść lecą. Zwykle też otrącają i skałę samą.

PROMETEUSZ.

Czy prędko skończysz tę swoją robotę?

SYZYF.

Czy ją skończę? Nic nie wiem. O skończeniu żadnem nie słyszałem. Jakże chcesz? Toczę głazy, a one się walą w dół, a ja znów toczę. Jakież tu może być koniec? Sam powiedz, czy tu może być koniec jaki? Śmiałybym się z pytania twego, gdyby nie to, że mi pyły zasypują oczy do łez...

## PROMETEUSZ.

Czy za pokutę zadano ci tę pracę, biedaku?

## SYZYF.

Jakto: za pokutę? Nie rozumiem ciebie.

## PROMETEUSZ.

Pytam się, czy uczyniłeś co złego, a Zeus rozkazał ci toczyć głazy, abyś w ich ciężkości czuł ciężką rękę jego?

## SYZYF.

Nic nie wiem o tem. Od czasu, jakem raz pierwszy ramionami ruszył i poznał w nich siłę, stoję tu i głaz po głazie w górę z dna przepaści toczę. Ale głazy znów się staczają na dno. Czasem głazy są cięższe, a czasem znów lżejsze; ale wszystkie staczają się na dno. Zawsze też czoło mam w pocie. I grzbiet mam także w pocie. Żebym tylko mógł... raz chociaż... na sam szczyt... *Nowy grzmot słyszać*. Ale nie mogę. To nie jest pokuta. To jest życie.

PROMETEUSZ.

O siło ślepa, wiecznie czynna!

SYZYF.

Co mówisz, orle?

PROMETEUSZ.

Cześć ci oddaję, jak bogu, i nogą cię, jak robaka, depcę. Jak chcesz!

SYZYF.

Głosy nasze lecą do siebie, ale się nie rozumieją.

PROMETEUSZ.

Czy pilnuje kto ciebie?

SYZYF.

Nie dobrze słyszę. Kiedym oczy raz pierwszy otworzył, oczy moje zobaczyły te głązy, w spoczynku leżące, a ramiona same się naprężyły do ruchu. Oto wszystko. Łowcy kóz dzikich wymyślili bajki jakieś o mnie, ale te nie są prawdą. Prawdą jest to, że głązy ciągle spadają.



PROMETEUSZ.

Pytam się, czy cię kto w tej robocie pilnuje?

SYZYF.

Nie. Któżby i na co? Czy żyjącego trzeba pilnować, aby żył? To się samo robi.

PROMETEUSZ.

Jakiż jest cel tej roboty twojej?

SYZYF.

Nie dobrze rozumiem, o co pytasz.

PROMETEUSZ.

Pytam: dlaczego toczysz te głazy?

SYZYF.

Jakto, dlaczego? Ponieważ spadają, więc je toczę. To jest bardzo proste.

PROMETEUSZ.

Niezupełnie. Tak samo mógłbyś powiedzieć, że ponieważ je toczysz, więc spadają. Rozumiesz?

SYZYF.

Coś nie coś...

PROMETEUSZ.

Da się to mieniać, jak dwie gałki chleba.

SYZYF.

Ponieważ je toczę... *Mocny grzmot.* ...więc... je toczę. Uf!

PROMETEUSZ.

Tępszy jesteś, niżem się spodziewał. Powiedz mi, z jakiego powodu podjąłeś tak ciężką pracę? Musiałeś mieć przecież do tego powód jakiś?

SYZYF.

Tak... bez wątpienia.

PROMETEUSZ.

Jakiż więc?

SYZYF.

Zaraz... zaczekaj... Kiedyś wiedziałem o tem, ale teraz zapomniałem jakoś... *Chwila ciszy.* Nie! Nie

mogę przypomnieć. Turkot głązów wybił mi to z głowy.

PROMETEUSZ.

Ale kiedyś, dawniej, wiedziałeś? Nie sposób tak pracować bez świadomości celu pracy.

SYZYF.

Niezawodnie, niezawodnie, musiałem wiedzieć! Tylko że mi to jakoś wywietrzało z głowy. Co chcesz? W takim trudzie! Zaraz... zaczekajno... *Nowa chwila ciszy.* Nie, nie mogę! Ale powiem ci, że to wszystko jedno. Nawet, powiem ci, że tak jest lepiej. Pamiętam, że i mnie o to kiedyś chodziło: poco? dlaczego? Ale, oprócz łamania w kościach, miałem wtedy jeszcze i w mózgu łamanie i to mi sprawiało dystrakcję. Teraz toczę głązy... Jak to ty mówiłeś?

PROMETEUSZ.

O głupi!

SYZYF.

...Ponieważ spadają. *Nowy grzmot.* Uf!

PROMETEUSZ.

Potężnym głosem udarował cię Zeus-Rodziciel!  
Wskroś grzmotu skał cię słyszę. Zeus-Rodziciel dał  
ci głos!

SYZYF.

Mnie zrodziła ziemia.

PROMETEUSZ.

Zapewne, ziemia. I mnie także. Ale była mi matką  
tylko według ciała. Myśl moja z bogów idzie.

SYZYF.

Ale mnie zrodziła ziemia.

PROMETEUSZ.

Mowa twoja nauczyła się od twoich głazów zawsze  
w dół spadać. Więc ty to życiem zowiesz?

SYZYF.

Ponieważ żyję. Ale co ty tam robisz w górze?  
Nie pojmuję wogóle, co tam można robić w górze?

Tu, co innego. Tu pełne ręce roboty. Ale tam, w górze?

PROMETEUSZ.

Wieczne przekleństwo rozbratu między przepaścią a szczytem! I ja żyję, bracie.

SYZYF.

Więc i ty głazy toczysz?

PROMETEUSZ.

Uśmiech wywołujesz na usta, które od niego dawno już odwykły. Żałuję, że nie mogę widzieć ciebie.

SYZYF.

I powiedz mi... Czy głazy twoje bardzo ciężkie? Ale stań bliżej, żebym cię lepiej mógł słyszeć.

PROMETEUSZ.

Żyję, ale życie moje to nie jest toczenie głazów. To nieśmiertelny pęd i ruch myśli. Z bogów to mam.

SYZYF.

Ale cóż ty właściwie robisz?

PROMETEUSZ.

Prawdy szukam.

SYZYF.

Czy zginęła?

PROMETEUSZ.

Nie była znalezioną nigdy.

ECHO.

Nigdy...

DALSZE ECHO.

Nigdy...

SYZYF.

Skąd wiesz, że coś, co nie było znalezionem,  
istnieje?

PROMETEUSZ.

Czuję ją.

SYZYF.

Więc ona boli ciebie?

PROMETEUSZ.

Tak, ponieważ jej nie znam.

SYZYF.

Nie pojmuję! Jakim sposobem może boleć coś, czego nie znam. Kiedy mam grzbiet zraniony i zszarpaną skórę, boli mnie, ale wiem dobrze, co mnie boli, ból mój znam, po imieniu ci go nazwać mogę. Wiem też dobrze, jak nazywać głaz, co mi ból zadał. Kopię go i krzyczę: przeklęty!

ECHO.

Przeklęty...

PROMETEUSZ.

Tak. Ale coś, co poznać pragnę, więcej jeszcze boli, niż ból, najlepiej znany.

SYZYF.

Biedny orle!

PROMETEUSZ.

Co mówisz?

SYZYF.

Mówię: biedny!

ECHO.

... Biedny!...

PROMETEUSZ.

Zdaje się, jakoby ta przepaść litować się nademną śmiała.

SYZYF.

Nie zważaj. Ona jest, jak dziecko, które powtarza słowa cudze, bo nie umie jeszcze mówić samo. W rodzie moim jest wieść, że i to z czasem przyjdzie. Przepaści, które do siebie krzyczeń będą skroś ziemi. Dna oceanów, zmawiające się szeptem między sobą... Hę?... Jak ci się zdaje?

PROMETEUSZ.

Bliższe twe słowa prawdy, niżeli sam sądzisz. Kiedy się o nędzy ziemi tej zadumam, krzyk taki już słyszę, a szepty otchłani budzą mnie ze snu mego.



SYZYF.

To ci się zdaje. Wieść mówi, że nastąpi to wtedy, kiedy mnie ramiona opadną. A one krzepkie jeszcze! Świat utrzymają, gdy się walić będzie. Ale powiedz-że mi, jak sobie radzisz z tem szukaniem?

PROMETEUSZ.

Po światło idę. Dla ludzi i rzeczy, po światło idę, do początku ludzi i rzeczy. Do Zeusa.

SYZYF.

A skądże wiesz, że ono tam jest właśnie?

PROMETEUSZ.

O bluźnierco! Nie dziwię się, że cię bogowie na dno przepaści stręcili.

SYZYF.

Ale bądź pewny, że mnie nikt nie strącał! Zawsze tu byłem. Co zaś do światła, to widzisz, taka rzecz albo jest wszędzie, albo jej nigdzie niema.

## PROMETEUSZ.

Zaciekawiasz mnie. Przepaść, która rozumuje! To mi się podoba!

## SYZYF.

Bo widzisz, chodzić gdzieś po światło, to znaczy iść bez światła, a zatem iść poomacku, a zatem zbłąkać się i wcale nie trafić. Światło, widzisz, samemu sobie skrzesać trzeba, a nie chodzić po nie.

## PROMETEUSZ.

Nie rozumiem...

## SYZYF.

Zaraz ci powiem. Kiedy tu w otchłani mojej skała o skałę, głaz o głaz uderzy, wybiega iskra i robi się widno. Na mgnienie oka, ale widno. Otóż uderzaj i ty tam rzeczy podobne o siebie, a dobędziesz z nich światło. Uderzaj mocno tylko! Niech ci nie chodzi o to, że się coś rozbije, strzaska. Człowieka o Zeusa naprzykład. Jeśli człowiek wytrzyma, to będziesz miał z tego taką jasność, że to ha!

## PROMETEUSZ.

Przemawiasz, jak szaleniec. O świetle też i źródle jego pojęcia, widzę, nie masz. Powiedz mi, czy możesz podnieść głowę?

## SYZYF.

Jakto, czy mogę? Podnoszę ją zawsze tak wysoko, jak wysoko głaz zatoczył mi się uda. Ale to na nic. Spada zawsze.

## PROMETEUSZ.

Głaz, czy głowa?

## SYZYF.

Głaz spada. Schylam się wtedy, aby go podnieść na nowo. Powiadam ci, że grzbiet mam w pocie i czoło mam w pocie. O głowę mniejsza. Głowa także spada.

## PROMETEUSZ.

Ale kiedy głaz w górę toczysz i oczy podnosisz za nim, czy widzisz jasność złotą, tam wysoko, u szczytu?

## SYZYF.

Ja wtedy zamykam oczy, bo się żwiry na mnie sypią. Zresztą, gdybym wyżej dojrzał, możebym i głazy wyżej musiał toczyć. Dziękuję za to!

## PROMETEUSZ.

O dobrowolna ślepoto otchłani! To może z boku choć, gdzieś szczeliną, dostrzegasz wązki promyk światła? Jasność żywą, złotą, drgającą? To słońce!

## SYZYF.

Tak? Być może. Ale mnie grzbiet nie obsycha z potu. Głazy wciąż toczą się na dno.

## PROMETEUSZ.

Co dnia wychodzi z morza i z złotych włosów trzęsie na świat różę. Wstępuje wyżej coraz. Zapładnia kłosa, winnice mocą i słodyczą zaprawia, w łąkach stada mnoży, sokiem nalewa jagody w lasach, a usta dziewic maluje purpurą. Wstępuje wyżej coraz. Wyciska żeńcom pot z czoła, żar w piersiach mężów nieci, jelenia pędzi za łanią

w kniei, żywice z sykomorów toczy. Wyżej jeszcze wstępuje. Ziemia żarem dyszy, pierś jej faluje od zbóż i kwiecica, z mrowisk bije woń myrry, rzeki płyną szafirem, powietrze z rozkoszy omdlewa. Staje nareszcie słońce na wyżynie swojej, promienne, boskie, błogosławione, wielkie!

#### SYZYF.

Bardzo piękna bajka! Uf!...

#### PROMETEUSZ.

Ale i nocą boskie światła na niebiosach płoną. Płonie Selene słodka, róży białej, palącej się, podobna; płonie Oryon przejasny, czerwony Ares, Wenus, Hera życiodajna i Apollo z Lirą. Płoną gwiazdy pięciorogie, ludziom przyjazne, sen błogi dające, i gwiazdy trzyrogie, na które dobrze jest nie patrzeć długo. Nieskończoność światel srebrzystych... Ale to wszystko niczem jest przy wiecznym ogniu, po który idę. Zeus go ma. Zeus go trzyma w mocnych, w nieśmiertelnych rękach. Ale zazdrosny jest i ani promyka człowiekowi nie dał.

Pokazał tylko z dala, ogniami imię swoje na nawałnicach pisząc, a człowiek, jak urzeczony, jak oczarowany, począł za niem iść, iść, iść... Zeus drży. Zeus lęka się... Żebym choć to wiedzieć mógł, czego on się lęka?

ECHO.

... Lęka ...

PROMETEUSZ.

Jeśli mi wzroku udzielił, to na to, ażebym widział jasno. Kto jasno nie widzi, jest ślepy. Miałżeby Zeus pragnąć, by człowiek był ślepy?

ECHO.

... Ślepy...

PROMETEUSZ.

Drażni mnie ten głos, który udaje wieszczka i odpowiada na to, o co nikt nie pyta.

SYZYF.

Mówiłem ci już, żebyś nie zważał na to. Skała ta powtarza tylko zasłyszane dźwięki.

PROMETEUSZ.

Ależ ja nie powiedziałem, że Zeus się lęka! Ja nie powiedziałem, że Zeus chce, by człowiek był ślepy! Ja pytałem tylko.

SYZYF.

Zapewniam cię, że to, co głos ten powtarza, wymówionem gdzieś, kiedyś być musiało. Wszystko jedno: dawniej, czy teraz, czy za lat tysiące. Ale proszę cię, czy wy tak bardzo szczęśliwi jesteście, że się szczęścia waszego napatrzeć dosyć nie możecie? Że wam do oglądania go tak mocnych, tak licznych i aż boskich światła trzeba?

PROMETEUSZ.

Przeciwnie! Ród mój jest nieszczęsny. Jest nędzny i upośledzony.

SYZYF.

Czy także głazy toczy?

PROMETEUSZ.

Gorzej, niż głazy! On toczy myśli swoje, a myśli staczają się na dno. On toczy wolę swoją, a wola

stacza się na dno. On toczy ducha swego, a duch  
stacza się na dno. Szczytem jest Zeus, skałą —  
życie, dnem — nicość.

SYZYF.

I nie ustają?

*Słychać długotrwały łoskot toczących się głazów.*

PROMETEUSZ.

Nie ustają!

SYZYF.

W takim razie, to nie są ludzie. To tytany!

ECHO.

*...Tytany... Nowy długi grzmot.*

PROMETEUSZ.

Zeusie! Słuchaj tego świadectwa przepaści!

. . . . .



# PO WIEKACH



1.

*Szeroka, w brzasku zórz stojąca dolina. W głębi mgłą  
zasnute góry. Świta. PROMETEUSZ, jako uskrzydłony,  
światłem objęty genjusz.*

. . . . .

PROMETEUSZ.

Mam cię więc, ogniu boski! Mam cię, iskro życia  
i nieśmiertelności! Mam cię, Zeusowy gromie, jeden  
z siedmiu, które mu stopy liżą. Mam cię, zarzewie  
wszechistnienia, wszechruchu, wszechpracy, wszech-  
siły.

Na piersi cię niosę, ja, karmiciel świata, na piersi  
nagiej, boską twą mocą zżegniję cię niosę, i nie  
czuję bólu.

I w szponie cię niosę, ja, orzeł ziemi, w spalonym szponie cię niosę, i nie czuję bólu.

Bo ból mój, to życie milionów. Bo ból mój, to wyzwolenie milionów. A tryumf rodu ludzkiego poczęty jest w mej męce.

Przelatywałem nad morzem, cały złoty od płomienia twego, o iskro boska! a morze oblało się zorzą. I wyszły z fal ciężkich potwory, i podniosły spleaszczone głowy swoje, i patrzyły na mnie.

A ujrzawszy, iż dzień niosę, uczyniły szum wielki i ukryły się aż na dno Egejskie.

I przelatywałem nad puszczą, nad puszczą, co zarasta Olint i Oetę, a puszcza zagorzała jutrzennemi łuny. A wielkie ptaki godziny brzasków ocknęły się i zbudziły po gniazdach swoich, i z krzykiem mocnym krążyły nad wierzchołami prastarych, jemiołą świętą oplecionych, dębów.

I najeżył się żbik, i skulił grzbiet pstrokaty, i zmrużył wąskie szpary żółtych źrenic. A niedźwiedź wstał i ryknął, i wstrząsnął kudły, i pomknął ku jaskiniom tajnym.

Lecz kiedym stanął na ziemi, krąg światła opierścienił stopy moje i szedł za mną, gdzieś się obrócił, jako niewolnik za panem swym idzie.

A od jasności kręgu tego otworzyły kwiaty modre swoje oczy i patrzyły na mnie. A gdzieś stąpił, budziła się krasa.

Światłu rozkazujący będzie imię moje.

I będzie imię moje: Dawca siły i Wskaziciel drogi. Mianem mojem wieki na się wołać będą, a ludy nosić będą zawołanie moje, jak gwiazdę, na czole.

I będzie imię moje: Objawiciel i Odkupujący. I przyjdą rzesze ciemne i otoczą mnie; a zaś uczynię, iż przewidzą w słońce.

Lecz choćby oślepty w blasku więcej, niżli z naczęcia były, błogostawić mnie będą.

I będzie imię moje: Wódz i Prorok.

I pójdą rzesze za mną, gdziekolwiek je powiodę. I nazwą śmierć zwycięstwem, a rany balsamem.

A choćby hufce one padły i pomarły, chwałę moją

śpiewać będą, a pieśń ta zmartwychwstaniem ich będzie.

I będzie imię moje: Naprawca i Odnowiciel.

I rzucą się ku mnie rzesze niezrodzone jeszcze, i świat nowy w imię moje budować będą.

A choćby padło dzieło ich i zginęło, a oczy ich nie oglądały szczytu budowania, imię moje hasłem podawać sobie będą.

I będzie imię moje: Rozwiązujący i Wyzwalający. I wszelka przedemną kaźń otwarta i skrócona będzie, a zdeptany stopą Zeusa podniesie głowę w słońcu.

Jak pali!

Do mięsa, do żywej kości przegryza się przez skórę. Ale nie puszczę. Ręki z ogniem z zanadza nie wyjmę. Obaczyłby mógł Zeus, pogoń wystać za mną.

Jak pali!

Czuję swąd skóry własnej i skwierczenie ciała... Prędszej, prędszej! Do siedzib ludzkich prędszej! Nim

ujrzy mnie Helios i doniesie Panu, będę już daleko,  
daleko!

Słupem ognistym, zatloną pochodnią dobiegnę  
kresu mego. Z oddechu mego uczynię rzecz, która  
pali się i świeci. Duch mój w ciele mojem będzie,  
jak płomień w alabastrze zamknięty. Alabaster  
pęka... pęka ciało moje...

Ogień wieków mocny jest i nieugaszony.

Błogosławię cię męko moja! Trzykroć, i trzy-  
kroć trzy, błogosławię cię!

Tak cierpię, że aż omdleвам z rozkoszy cierpienia...

Dalej! Naprzód! Przed siebie! Ciągłe przed siebie!

Ogień niosę! Ogień niosę, z którego Zeus piorun  
swej władzy uczynił! Ogień niosę, który ludzi  
bogom równymi zrobi!

Ogień niosę! W cień, i zimno, i skrzepłość śmierci —  
ogień niosę!

Do grodów, do siedlisk ludzkich wejdę, na cztery  
strony świata go rozdzielę, na cztery wichry roz-  
dmucham, na cztery słońca rozpalę!

I będą ludy szły, i uczynią ogniska wielkie i mnogie; a nędzarz zatli u nich żagiew swą i pójdzie, niosąc przed sobą boskość swoją, równy twojej boskości, Zeusie, nieśmiertelny, wieczny!

Ludy i wieki widzę... Ludy i wieki ogniem znaczone idą...

Harfa światła brzmi okręgiem globu, od nocy do brzasku, od jutrzrenki do zorzy, od świtu do zachodu słońca.

Jaśniej... Coraz jaśniej... Ustępują mgły nocy i błędne tumany. Jak zasłona oblubienicy spada opar siny z łona ziemi. Coraz, coraz jaśniej...

Co tam majaczeje w dali?

Nie jest-że to Kaukazus siny? Nie jegoż to śniegi wieczyste, rozwidnione świtem?

A na nich... Co to?

Nie postać-że-to moja rzuca swój cień czarny, długi?

Jak dziwnie cień się kładzie! Człowiek na skałę rzucony i przykuty do niej nie inaczej mógł-by wyglądać. Szczególne widzenie!



Sęp, który nad głową moją krąży, złudzony podobieństwem, pada na pierś odbitego od zorzy rannej widma i dziobem w nią głodnym uderza. Nie miał widać obłowu tej nocy.

Czym się poruszył? Musiałem się poruszyć. Bo oto widmo drga, kurczy się i wije, jakby w żywej męce... Patrz, patrz! Otwarta piersi rana...

Patrz! Światło z niej leje się, wypływa, świat, świat topi cały!...

Ach, to gra promieni wstającego słońca! Szczególne widzenie. Gdyby tak...

Co mi? Dalej? Dalej! Naprzód!

## II.

*Taż sama okolica, co w części I-ej. Zmierzch letni. PROMETEUSZ w sandałach i podróżnym płaszczu. Na głowie uskrzydłony kapelusz Hermesa, twarz zakryta w części.*

### PROMETEUSZ.

Cisza. Czyżby zaprzestał pracy? A może go przywalił gładz jaki.

Kamieniarzu! Hej! Kamieniarzu!...

Cisza. Gdyby nie ćwierkanie cykady, słyszałbyś, jak się koło czasu po niebie toczy.

Kamieniarzu! Hej!...

Niema widać nikogo. Czy tylko dobrze trafiłem? Jakżem zmęczony! Od czasu tej przeklętej kaźni przyjść do siebie nie mogę. Na nic zesłałem. Ta

skała, te wichry, te więzy... A potem te Oceanidy! Szczególniej te Oceanidy! Co za myśl płakać nad Prometeuszem. Ach, te istoty żeńskie, wodniste, ten lament fal od rana do nocy i znów od nocy do rana! Brrr... Jakżem się nudził! Zginąłbym z nudów, gdyby nie sęp. Sęp... ten mnie rozrywał!

Ale mi trzeba mówić z tą przepaścią. Kamieniarzu! Hej! Hola! *Słuchać jęk.*

Czy to ty jęczysz, mój druhu?

SYZYF.

Przeklinam ciebie!

PROMETEUSZ.

Za co?

SYZYF.

Czekaj. Niechno się podniosę nieco.

PROMETEUSZ.

Przywaliła cię skała?

SYZYF.

Nie. Sam padłem. Z rozpaczy padłem. Rzuciłem się na samo dno przepaści i głowę ukryłem w prochu. Skrzywdziłeś mnie, orle!

PROMETEUSZ.

Ja? Ciebie? A to jak skrzywdziłem?

SYZYF.

Mową. Przewrotnym językiem twoim. Od czasu, jakieś mi mówił o świetle owem, o milionach światel, spokoju nie mam zgoła. Szukam ich, pożadam, chcę ujrzeć, chcę patrzeć na nie. Wieki minęły, na rzęsach moich zeskorupiały powietrzne pyły, a ja patrzę w górę... Wciąż patrzę. Ale światel owych nie widzę. Pogasły może?

PROMETEUSZ.

Świecą zawsze.

SYZYF.

Ale ja ich nie widzę. Kiedy głaz w górę toczę, patrzę, czy nie ujrzę owego złotego światła... Jak je nazwałeś?

PROMETEUSZ.

Słońce.

SYZYF.

Tak. Piękna nazwa! Otóż patrzę, czy nie widać słońca. Ale go niema!

PROMETEUSZ.

O wiekuista ślepoto przepaści! Gorzało mi ono dzień cały nad głową, jak kula rozżarzona, biała. Powietrze dotąd drga żarami jego.

SYZYF.

I światła nocy upatruję, i także daremnie.

PROMETEUSZ.

Świecą przecież, jak dawniej świeciły. Srebrna Selene noc mnie całą wiodła.

SYZYF.

Tu u mnie żadne nie świeci. Nie znam Selene twojej. Być może, iż ona srebrna, ale ja jej nie znam. Poczujesz mi mówić o rzeczach pięknych i błyszczących, których oczy moje oglądać nie mogą?

## PROMETEUSZ.

Ależ tak i dawniej było!

## SYZYF.

Dawniej było spokojnie. Ciemność była dla mnie, a ja dla ciemności. Znałem ją i ona mnie znała. Wypełniała wszystkie kąty, wszystkie szczeliny tej jamy. Cokolwiek nie było mną i głazem, nią było. Ja sam byłem jej częścią. Czułem ją dokoła siebie, i nie patrząc nigdzie, widziałem ją.

Teraz głaz toczę i patrzę. Nie na głaz patrzę, tylko oczyma światła szukam, a głaz mnie kaleczy. A potem, głazy także zrobiły się teraz cięższe. Czy może przepaść głębsza?...

Bogdajbym cię nie znał!

Dawniej, pókim o istnieniu światła tych nie wiedział, toczyłem głaz po głazie i nie przykrzyłem sobie tej roboty.

Teraz rozważam. Teraz mi ramiona mdleją, teraz się ociągam, sam nie wiem dlaczego...

## ECHO.

... Dlaczego ...

## SYZYF.

Bogdajbym cię nie znał! Między te ciche skały puściłeś głos, głos, który je zamieszkał i wielomównemi uczynił.

Dawniej powtarzały tylko huk głazów, albo krzyk mój, albo milczenie. Moc w tem była. Moc, powiadam ci, była i życie. Teraz szepcą. Nauczyły się szeptów dziwnych, drażniących, szeptów, które mają twarze. Czasem twarze te są groźne, czasem szydercze, czasem zalane łzami. Ich niepokój rozdziera mi duszę. Żadna z nich nie jest spokojną. Czasem bije się to w ciemności lotem nietoperzowym; czasem wysuwa z kąta, jak długie, długie żądło, i syczy: dlaczego?

## ECHO.

... Dlaczego...

## DALSZE ECHO.

... Dlaczego...

## SYZYF.

Słyszysz je?

Skorpiony po ciele mojem chodzą, i niedźwiadek lega za mną, i żmija okręca się około nogi mojej,

a szkody mi nie czynią. Lecz to jedno słowo za-  
biło mnie.

Czasem ono jest tak małe, jak ziarnko piasku, pod  
powieką tkwiące, które ci źrenicę krwawi, czasem  
tak wielkie, że mogłoby, rozsadzić całą tę jaskinię.

Czasem jest jak klin, do mózgu zabity, czasem jak  
szpara w piersi, przez którą ucieka życie.

Zmordowany jestem, zmęczony jestem.

Chciałbym nie istnieć! *Chwila ciszy.*

Jedno ci jeszcze powiem.

Zdawało mi się dawniej, że toczę głazy z własnej  
mojej woli; toczę, bo toczę. Ale teraz tak nie jest.  
Teraz wiem, że w pracy mojej jest przymus i rozkaz.  
Jest konieczność jakaś. Nad moją wolą jest druga,  
potężniejsza wola. Powiedz sam! Czuć, jak ci ręka  
czyjaś piersi uciska i do oddechu zmusza. Hę? Co  
myślisz?

Oddech, ten cię nie boli, nie wiesz o nim, jest tobą.  
Lecz gdyby cię do każdego tchnienia kto przymu-  
szał? Gdyby obca ci ręka... do takiej rzeczy  
wnętrznej i cichej, jak oddech... Co myślisz?



Nienawidzę jej!

Właściwie nic może niema. Gdybym choć to wiedzieć mógł, że coś jest! Ale może nic niema. W ciemności widzieć nie można, czy co jest, czy niema. Lecz jeśli niema — nic jest w takim razie. Nic, któremu służę. Nic które mi rozkazuje. Nic, które jest panem czegoś... Lecz w takim razie ja także chcę być niczem! To proste. To takie proste, jak pałka, którą ci zbój czaszkę rozwala!

PROMETEUSZ.

Skończyłeś?

SYZYF.

Czy myślisz, że rzecz taka skończyć się może?  
Może się tylko nie zacząć!

PROMETEUSZ.

Największym pocieszycielem jest, kto w ciszy słucha, gdy bolejący ból mu swój powiada. Bogowie mają tę ciszę. Milczenie ich nie jest obojętnością, ale ukojeniem. Wszystko co milczy, pociesza. Śmierć i Bóg.

Śmierć, gdyby mówiła, byłaby życiem. Bóg któryby mówił, byłby człowiekiem. Podniesieni są wszakże nad to oboje tem, iż nie mają głosu.

Pocieszyć się chciałem.

SYZYF.

Bogdajesz przepadł i z pociechą twoją. A czemu ty byłeś, gdyś mi mówił o światłach onych? O boskim ogniu onym?

PROMETEUSZ.

Drogą do śmierci...

ECHO.

... Śmierci...

DALSZE ECHO.

... Śmierci...

PROMETEUSZ.

Niech i tak będzie! To jedno. A teraz przybliź się i słuchaj.

Z ognia, który Zeusowi chwyciłem i oddałem ludziom, została mi iskra. Jest bardzo drobna, bar-

dzo jasna i bardzo paląca. Świeci modro, jak jedna z gwiazd większych; ale chwilami zamienia się w słońce.

Ukrytą ją miałem w piersiach, gdym na Kaukazie leżał, przykuty do skały za porwanie ognia. Dopiero przykuwszy mnie, spostrzegł Zeus, że iskrę przykuł razem ze mną i sępa swego zaraz posłał po nią.

Nieprawdą jest, że sęp szarpał mi wątrobę tylko. Nie! On serca sięgał. On z serca chciał wyrwać iskrę, która w niem płonęła. Ale nie zdołał. Została i ocalała mnie.

Sto razy byłby mnie Zeus gromem swoim strzaskał, gdyby się nie bał, że iskra też zgaśnie. Dla niej mnie jeńcem żywił, ażbym ją stradał. Ale nie stradałem.

Gorzała w piersi mojej na poranku, jak gwiazda jutrzenna, a czasu nocnych straży, jak gwiazda polarna. Niesłychanej mocy łuna padała od niej na Kaukazus stary, a wieczne śniegi jego płonęły w jej blaskach, jak gdyby pod zorzą.

I budzili się ludzie, i podnosili głowy, i patrząc na Kaukazu szczyty, mówili:

Prometej tam żyw jest! Prometej tam każń cierpi!  
Prometej świeci w męce!

I stało się, że pojęcie życia i męki, męki i blasku zórz, każni i najwyższej chwały, złączyły się w ustach i w uczuciu ludzi, i tak zostały.

Do czterech żywiołów świata przybył nowy, potężny żywioł: ból.

Ten miał siły za cztery i treści za cztery: wicher jęku, łez morze, ogień męki i ziemię mogiłnych prochów. Na tej co stanie, wieczne jest. A co łzy napoją, żywe jest. A co ogień męki wypali, mocne jest. A co jęk wyśpiewa na czarnej harfie swojej, tego słuchając, miliony zmocnione będą.

I zmocniły się serca ludzkie żywiołem nowym, i stanęły na nim pokolenia nowe, jak na gruncie życia, i łamały z sobą chleb jęku, i piły do siebie łez czaszę, i w upaleniu ducha wydały siły nowe.

Których widząc Zeus, rozwiązać mnie kazał i odpuścić wolno.

Bo — mówił — przestanie mi ten szczyt w oczy gorzeć chwałą umęczonego tego.

I wstałem. A z rany piersi moich wyszła iskra życia i szła przedemną, świecąc mi w drodze. I wyciągnąłem ręce moje i szedłem za nią, gdzie mnie wiodła.

I rozbrzękła na poranku tysiącem głosów życia, i błysnęła tysiącem barw i kształtów jego. Poruszyły się ramiona moje i myśli moje pracować zaczęły, i serce uderzyło nadzieją.

A wtem usłyszałem krakanie sępa, i cień skrzydeł jego, rozjętych na wschód i na zachód słońca, padł na drogę moją. Ptak Zeusowy ścigał iskrę moją, iskrę żywota.

Przeląkłem się i przywołałem ją tchnieniem; gorącym tchnieniem ust wziąłem ją w piersi moje całą złotą, i zakryłem pierś płaszczem, a idąc, szedłem.

Nie ku nadziei teraz szedłem, ale ku ochronie. A jako siewca ukrywa ziarno siewu swego w ziemi, tak ja chcę ukryć w tej jaskini iskrę ducha mego. Bom mówił: szukać będę czegoś, co mocne jest

a ślepe, i czegoś, co w pracy jest a trwa, i czegoś,  
co cierpi a nie wie.

W przepaść męki i ciemności, i siedmiorga głodów,  
i siedmiorga potów, i nędzy, nad którą nie masz  
jakąby stawić można, rzucę iskrę moją.

I rzucę ją, gdzie jest skrzywdzony a cichy, iżby  
ku żywotowi dojrzewał, jako źdźbło rodzajne.

Na twardą pierś ją rzucę i na ramiona żylaste, i roz-  
świecę nią mózg krzepki, jak ugór, co nie rodził  
jeszcze.

Milczącemu ją dam, i temu, który jest cierpliwy.

A dam ją, który nie pamięta początku swej pracy,  
ani wygląda jej końca. A który nie osycha z potu,  
a w rosach znoju chodzi, tego ubogacę. I tak wy-  
brałem ciebie.

Rozdzieram płaszcz mój i oddaję ci iskrę boską.  
Pójdź, a weź! *Nagła cicha jasność.*

SYZYF.

A!...

### III.

*Taż sama okolica, dzień znojny, południe. Na odtamie skąty  
siedzi SYZYF. Krótka bluza kamieniarza, ręce i nogi obna-  
zone głęboko, postać potężna, rzucająca cień krótki, czarny.  
Zgiętk od strony miasta rośnie i opada.*

#### GŁOSY DALSZE.

Podpalacz! Podpalacz! Chwytać podpalacza!

#### GŁOSY BLIŻSZE.

Tu szedł... Tędy uciekał...

#### SYZYF.

Wiatr w polu łapaj! Hu, co dymu wali!

#### GŁOS OBWOŁYWACZA.

Sto uncyi złota za głowę podpalacza! Sto uncyi złota!

SYZYF.

W ogień wsadź rękę, głupcze! Będzie ci zdrowiej,  
niżbyś po nią sięgał.

GŁOS OBWOŁYWACZA *oddala się.*

Sto uncyi złota za głowę... Sto uncyi...

SYZYF.

Hu, jaka łuna! Tęgom ich podkurzył!

INNE GŁOSY NIKNĄCE.

Łapaj!... Chwytaj!...

*Zbliża się Prometeusz. Postać anheliczna.*

PROMETEUSZ.

Znów okrzyk nieszczęścia i winy! Czy nigdy nie  
przebrzmi on nad ziemią?

SYZYF.

Ktoś idzie... Nie od miasta idzie... Przechodzień  
jakiś. Dość sobie jakiś szczególnie przechodzień!



Czyżby i ten coś budował i po kamienie tu szedł, jak cyklopy chodzą? Nie wygląda mi na siłacza, nie wieleby dźwignął... Ale ma w sobie coś, za czem kamienie same iśćby mogły... Hu, co dymu!...

PROMETEUSZ.

On... siła! Wyzwolona siła przepaści! On... wielki, surowy, mocny! Świat z niego nowy dyszy... On! glina wszystkich posągów, jakie wzniosą wieki, fundament wszystkich szczytów, wiązanie wszystkich murów... On, poznaję go! Bądź pozdrowiony, tytanie!

SYZYF.

Szyzef mi imię. Ale ja cię już słyszałem.

PROMETEUSZ.

Tak. Pewny byłem...

SYZYF.

Gdzie ja ciebie słyszałem?... Nie widząc, słyszałem?...

## DALEKIE GŁOSY.

Podpalacz!... Podpalacz!... Sto uncji złota...  
Chwytaj!... Łapaj!...

## PROMETEUSZ.

Byłem pewny, on! Stopy, które pójdą w przyszłość. Ramiona, które pochwycą życie. Pierś, która wyda ostatni okrzyk tryumfu, zanim nastanie wielka cisza ziemi. On, budownik jutra...

Lecz iskra? Gdzie iskra moja?

## SYZYF.

A! To ty, rozdawczu jasełkowych świeczek? Ty, którego miałem za orła? Ha! ha! Nie myślałem nigdy, żeś tak marnem lichem! Mniemałem cię być większym, tęższym, a nadewszystko silniejszym! Dużo silniejszym! Patrz, patrz, jak się to zabawnie wyświeca! Ha! ha!... Za orła go miałem! Za Zeusowego!... O ja czerwieny głupiec! Nieboraczysko! Toż to ledwie skóra a kości! Skądże ty idziesz, chudziaku? Czy może znów jaką latarkę za pazuchą niesiesz? Jeszczem od swędu tamtej nie odczadział. Widzisz, co się z niej narobiło swędu? Spojrzno tam ku miastu!...

Patrz, patrz! A ja z nim gadał, jak z bogiem!  
O marnoto wieczna!

PROMETEUSZ.

Wielki, potężny, siłę swą czujący! Takim go chcia-  
łem. Takim go marzyłem. Rodziciel plemion i wie-  
ków... On!

SYZYF.

Gada, jak szaleniec. Komar, któryby oszalał, nie  
inaczej brzęczałby nad uchem mojem... Czy masz  
gorączkę, kochanku?

PROMETEUSZ.

Prędzaj... prędzaj tchnąć ogień boski w tę po-  
tężną glinę! Prędzaj pierś mu rozdmuchać... Iskra...  
Gdzie iskra, którą ci powierzył?...

SYZYF.

Iskra nie jest mi już potrzebna. Ale ci powiem,  
że przednie miałem widowisko!

Kiedyś ją rzucił, wiesz, tam do mojej dziury, zro-  
biło się nagle jasno, ale to tak jasno, że m o kęs  
nie oslepl na piękne. Potem przywykłem. I zoba-

czyłem, że to, co miałem za głazy, było nędzą moją, a to, co zdawało mi się szczytem, było głupotą moją, a to co zdawało mi się przepaścią, było krzywdą moją. Padłem tedy i gorzko płakałem. Powiadam ci, do końca nie wypije ziemia łez tych, którem wylał.

A potem mi nagle łzy oschły i rzekłem: Nie jest nigdy ciężar nędzy większy nad głupotę nędznego, ani krzywda nie jest głębsza nad głupotę krzywdzonego. I podniosłem się.

A kiedym się podniósł, zobaczyłem, że ta jaskinia, którą w ciemności miałem za świat cały, jest sobie dość lichą budą, i że, dobrze kopnąwszy, rozwalić ją można. Rozwaliłem ją też zaraz i wytknąłem głowę.

Było jasno. Było przeraźliwie jasno.

Wielkie to światło, o którym mówiłeś, iż dniem rządzi, świeciło mi prosto w oczy, zrazu podnosząc się w górę, a potem staczając się na dół.

Patrzyłem ciągle.

I wyszło z mokrych nizin światło blade, które rządzi nocą; i to w górę szło nad głową moją, a potem stoczyło się na dół.

Patrzyłem, patrzyłem ciągle...

I wyszły światła drobne, i tliły się nad głową moją, drżąc bardzo. Ale i te zagasty. Patrzyłem dzień, patrzyłem noc, i znów dzień, i znów noc, i jeszcze... i jeszcze...

Wiesz, co ci powiem? Przekonałem się, że niebo, Olimp niby, to taka sama, jak moja, tylko szczytem na dół odwrócona przepaść, że Zeus jest w niej takim samym pachółkiem, jakim ja w mojej dziurze byłem, i że te wszystkie światła, to poprostu większe i mniejsze głązy, które on w górę toczy, i które ciągle spadają.

Aaa! kiedy tak — myślę sobie — to znów co innego! To jest, właściwie, może nic innego, ale wiesz... taki mnie opanował śmiech, ale to taki śmiech, że się serce trzęsło we mnie jakby przy skonaniu. A potem zaraz taka we mnie uderzyła żałość, taki smutek, że znów padłem i płakałem.

Na głązy te, powiadam ci padłem, a z łez moich dwa morza byś ulał, gorzkie i słone tak, żeby w nich wszystkie bestye pozdychały. Tak mi było!

Czegom ja głupi płakał, w łeb wal, do dziś nie wiem. Przepadało coś, ginęło, rozdzierało się we mnie... Aż i to przeszło.

I ból jest głązem, który się przez pierś toczy i opada. I wszystko... wszystko...

Więc kiedym to w sobie rozważył, zadziwiłem się wielkiej nędzy świata.

I zobaczyłem wtedy wiele rzeczy, ale to, mówię ci rzeczy... no!

Bo i czas jest głązem; toczy się i spada, a proch, który z niego leci, nazywa się życiem. Szary, gryzący proch...

*Bierze garść pyłu i dmucha na nią.*

Phhu!!!

Ale mi już niczego żal nie było. Tylko ta jasność mnie piekła. Piekła mnie tak, zem miał oczy w ogniu... I mózg miałem w ogniu. Bo jeżeli

zycie jest tylko pyłem tego głazu, który miliony toczą, i jeżeli miliony giną i padają, myśląc, że przecież gład ten gdzieś doleci, i miecą go gdzieś w górę, a nie dolata i dolecieć nigdy nie ma, to byle tę całą budę... rozumiesz? ot tak...

*Czyni w powietrzu ruch kąpięcia.*

Zrozumiałeś?...

### PROMETEUSZ.

Nędzny! I z tegom błota chciał budować światy!...  
Lecz iskra? Gdzie iskra, którą ci powierzył?...  
*Wielki wybuch płomieni nad palącym się miastem. Słychać krzyk zgrozy.*

### GŁOSY DALSZY.

Śmierć! Śmierć podpalaczowi!

### GŁOSY BLIŻSZE.

Sto uncyi złota za głowę! Sto uncyi!... Chwytaj!  
Trzymaj!

### SYZYF.

Hu, gorąco! Hu!...

PROMETEUSZ *wstrząsa nim.*

Gdzie iskra moja, szaleńcze?

SYZYF

*kurczy się, wyciąga przed siebie palec i mówi szeptem:*

Tam... tam iskra twoja...

GŁOSY ODDALAJĄCE SIĘ.

Łapaj... Chwytaj...

PROMETEUSZ

*podnosi runiczną laskę.*

Iżes boskiego ognia w pierś nie wziął, aleś zeń  
ziemi pożogę uczynił... Iżes za światłem w górę  
nie rósł, aleś rzeczy górne ściągnął do własnej  
nicości... Na wiek... na dwa... na dwakroć po  
lat tysiąc, oddaję cię bezruchowi i senności głązów!

*Syzyf kamienieje w bezkształtny posąg.*

PROMETEUSZ *zachodzi zmierzchem.*

Pomszczony jesteś, Zeusie, gromów Boże!

KONIEC.











W roku 1983 obchodziliśmy 75-lecie Dziennika Związkowego - Pierwszym redaktorem pisma był wielki patriota i jeden z lepszych dziennikarzy w Ameryce. Na zdjęciu z lewej ku prawej: Jan Krawiec, red. naczelny, 91 lat licząca Ludmiła Cummings Jabłońska, córka pierwszego red. Dziennika Związkowego, dr Edward Różański, zarządca pism związkowych i Kalendarza ZNP, wyżej na podium s.p. Alojzy Mazewski, b. prezes ZNP i KPA.

Ludmiłę Jabłońską odszukał ECR, w schronisku dla starców ALVERNIA MANOR w LEMONT, Illinois.



1983 - sztab administracji Dziennika Związkowego  
p.n. 6100 N.Cicero Avenue, Chicago, Illinois 60646  
Zdjęcie na 75-lecie Dziennika - ostatni na prawo  
zarządca pism związkowych i red. Kalendarza Związkowego, dr Edward Różański.

